



MOJE DWIE MATKI (OPOWIADANIE OPARTE NA FAKTACH)

JUSTYNA MICHNIUK





Mikosze

Nazywam się Hans-Paul Kossakowski, ale to nie jest moje prawdziwe imię i nazwisko. Moja niemiecka matka pogrzebała Hansa-Paula w bezimiennym grobie na cmentarzu w Arys[1] na początku zimy 1934 r. Jeden dzień później narodził się jednak na nowo, aby dziś wraz ze mną osiągnąć wiek 90 lat. Ja jako on i nieżywy on jako ja. Nigdy nie opowiadałem nikomu mojej historii, którą poznałem dopiero jako osiemnastolatek, na łożu śmierci tej, która kochała mnie całym sercem. Leżała w naszym niewielkim mieszkaniu w Budziszynie i strasznie kaszlała. Miała nieleczzonego raka płuc. Bała się śmierci w szpitalu, wśród obcych, dlatego czuwałem przy niej ja, jej najmłodszy, ukochany syn, razem z naszym ojcem, który przeklinał aliantów, Stalina i Polaków i obwinał ich za chorobę mojej matki.

Hitler nie wyrzuciłby nas przecież z naszego domu ani nie skazał na głód, ciasnotę i tułaczkę, aż do otrzymania upragnionego pozwolenia na wyjazd do Niemiec. Do naszego Vatterlandu, do ziemi ojców. Siedzieliśmy któregoś dnia jak zwykle przy jej łóżku; on – Gottfried Kossakowski, gorliwy członek NSDAP, właściciel domu w Mykossen[2], 20 hektarów ziemi, i zakładu szewskiego, mój ojciec oraz ja, jej ulubieniec z siódemki rodzeństwa, jej oczko w głowie, kiedy poprosiła ojca, by wyszedł. Zostałem tylko ja. Ja, syn Sary i Dawida Cohen, właścicieli sklepu w Arys. Ja, jedyny, który ocalał zagładę z naszej rodziny. Ja, Żyd.

[1] Dzisiejszy Orzysz, miasto na Mazurach, liczące ok. 5500 mieszkańców.

[2] Dawna nazwa wsi Mikosze, położona ok. 2 km od miasta Orzysz.



Arys, Orzysz (historyczna pocztówka)



Droga z Mikosz do Orzysza

Zacznijmy jednak od początku, aby wszystko było jasne w tej nigdy nieopowiedzianej historii rodzinnej. Nie pamiętam wiele z mojego poprzedniego życia, które prowadziłem jako Chaimek. Nie pamiętam nawet dokładnie twarzy mojej matki. Wiem tylko, że zawsze pachniała świeżym chlebem, który piekła dla mnie i trójki moich braci. Wypowiadała błogosławieństwo i pozwalała nam jeść jeszcze ciepłe, łamliwe kromki. Kiedy nie patrzyła, formowaliśmy z ciasta niewielkie kulki i rzucaliśmy nimi w siebie. W tamtych błogich czasach nie wiedzieliśmy jeszcze, jaki los spotka naszą rodzinę. Pani Elfriede Kossakowski robiła zakupy w sklepie moich rodziców przy Lyckerstrasse[3], głównej ulicy w Arys. Przychodziła do nas zawsze uśmiechnięta i pełna energii, chociaż miała dużo pracy z siódmką dzieci i w gospodarstwie rolnym. Towarzyszył jej zawsze Hans-Paul, który często bawił się z nami, podczas gdy jego matka robiła zakupy.

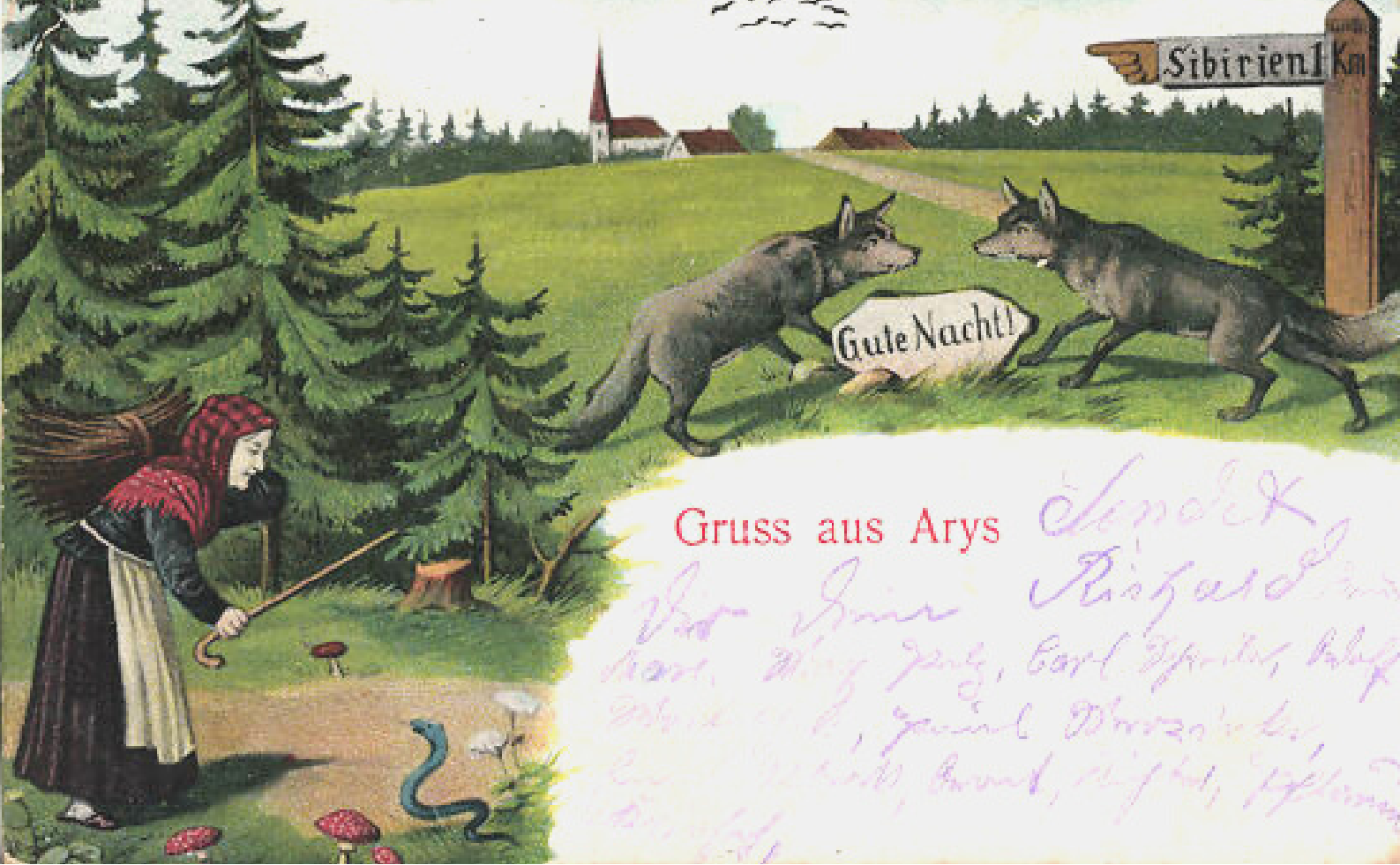
[3] Lyck to dawna niemiecka nazwa dzisiejszego miasta Ełk. Centralna ulica miasta nosi także i dziś nazwę Ełcka.



Dom niemiecki w Mikoszach

Nigdy nie wyglądałem na Żyda, to znaczy nie odpowiadałem nazistowskiemu opisowi mojego narodu. Miałem co prawda ciemne włosy, ale moje oczy były niebieskie jak tafla Aryserskiego jeziora, naszego przepięknego jeziora, które znajdowało się tak blisko, że moi starsi bracia często tam chodzili. Dla mnie takie wycieczki były zabronione, bo matka za bardzo się o mnie bała. Dlatego zobaczyłem nasze jezioro dopiero jako dorosły, kiedy w latach 90. ponownie odwiedziłem moje rodzinne strony. Stałem na brzegu jeziora Orzyskiego i płakałem. Hans-Paul mógłby być moim bratem, a tymczasem to ja wszedłem w jego rolę i zająłem jego miejsce na kolanach pani Kossakowski.

Rok 1934 w Prusach Wschodnich nie należał do najlepszych dla nas, Żydów. Zaczęły się szykany, bojkot żydowskich sklepów oraz pierwsze zakazy dotyczące uczestnictwa w życiu publicznym. Mimo to pani Elfriede Kossakowski nadal u nas kupowała, ale przez dłuższy czas pojawiała się sama, bez Hansa-Paula. Cohenowie tymczasem planowali sprzedać sklep i przeprowadzić się do Łodzi, gdzie mieszkała moja babcia ze strony ojca. Moja żydowska matka była mądrą kobietą i przeczuwała, że to, co się dzieje, stanowiło dopiero początek prześladowań Żydów. Moi trzej bracia byli nastolatkami, kiedy ja byłem wciąż małym dzieckiem, dlatego nie rozmawiano w mojej obecności na ważne tematy. Mimo że nie mogę sobie przypomnieć wielu szczegółów z dzieciństwa, dobrze zapamiętałem tamtą noc, która zadecydowała o wszystkim.



Arys, Orzysz (historyczna pocztówka)

Było okropnie zimno i cały dzień padał śnieg. Wszyscy już spali, kiedy pojawiła się u nas rozgorączkowana i płacząca pani Kossakowski. Moja mama zabrała ją na zaplecze i rozmawiały półgłosem. Potem mama pocałowała mnie w czoło i mocno do siebie przytuliła. Pachniała dymem, który wydobywał się z kominków, kiedy się w nich rozpałało. Później pamiętam już tylko, że pani Kossakowski opatuliła mnie w jakąś kołdrę i posadziła na saniach. Nigdy więcej nie zobaczyłem mojej mamusi, Sary Cohen, z domu Bach. Odtąd miałem inną, niemiecką matkę, panią Elfriede Kossakowski, z domu Gebert.

Hans-Paul zmarł nagle, nie wiem dokładnie dlaczego. Dowiedziałem się tylko, że moja niemiecka matka wpadła w wielką rozpacz. Widząc, co działo się w Arys czy też w Johannsburgu[4], gdzie raz po raz ktoś wybijał szyby w synagodze i w innych miastach ówczesnych Prus Wschodnich, moja matka już dawno podjęła decyzję, że przekaże mnie niemieckiej rodzinie. Miała przeczucie, że dzięki temu mogę mieć lepszą przyszłość. Szansa pojawiła się sama. Byłem trzylatkiem, kiedy Elfriede Kossakowski zabrała mnie do swojego obszernego domu w Mikoszach i nazywała odtąd jego imieniem. Ostrzygła mnie i ubierała w rzeczy przesiąknięte zapachem Hansa-Paula.

[4] Dawna nazwa miasta Pisz. Żydzi z Orzysza nie posiadali własnej synagogi i uczęszczali na nabożeństwa do synagogi w Pieszku. Synagoga w Pieszku była w latach 30. wiele razy dewastowana, aż do jej całkowitego zniszczenia w czasie Nocy Kryształowej w 1938 r.

Początkowo tęskniłem za moją prawdziwą mamą i płakałem, jak powiedziała mi później moja niemiecka matka, ale bardzo szybko zapomniałem, kim jestem, i wkrótce stałem się Hansem-Paulem. Aryjczykiem, dzieckiem lokalnego bogacza i zwolennika Hitlera, bratem pięciu dumnych żołnierzy Wehrmachtu i Luftwaffe i jednej przykładowej żony, gospodyni domowej. Ponieważ znów byłem najmłodszy, moje nowe rodzeństwo było już zajęte własnymi sprawami i nawet nie zauważyło, że ich prawdziwy brat odszedł do wieczności. Tylko Elfriede wiedziała, co się wtedy stało, i tę tajemnicę zdradziła mi dopiero w godzinie śmierci.

Nauczyłem się nienawidzić Polaków, zanim dobrze nauczyłem się pisać. Po wojnie, podobnie jak mój ojciec, winiłem ich za wypędzenie mojej rodziny z naszego pięknego domu, największego we wsi. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, że prawdziwymi oprawcami byli ci, których uważałem za rodzinę i przyjaciół. Zwykli, szarzy obywatele, którzy – widząc zło – odwracali wzrok i cieszyli się, że ich położenie materialne nie ulega zmianie, a wręcz wierzyli, że się poprawia dzięki polityce prowadzonej przez Führera. W naszej jadalni wisiał naturalnie jego portret. Spoglądał na nas, spożywających posiłki, i tata zawsze mówił, że czuwa nad nami i zapewnia nam dobrobyt. Przez wiele lat taki właśnie obraz Hitlera uważałem za jedyny słuszny.

Mykossen były wspaniałym miejscem do życia. Jako dziecko nie dostrzegałem oczywiście całego zła, jakie działo się za tymi wspaniałymi kulisami, które stanowiły dla mnie nasze podwórko, sad oraz bliskość kanału, po którym w tamtym czasie pływały żaglówki, a my jako dzieci wesoło się pluskaliśmy pod baczynym okiem starszego rodzeństwa. Kochałem moją wieś i nasz obszerny dom, gdzie miałem nawet swój własny pokój, a mama nie musiała chodzić po wodę do studni, ponieważ mieliśmy pompę, która zapewniała nam pewien luksus. W ogóle nie znałem polskich dzieci, na ulicach królował niemiecki. Chodziłem do szkoły, pilnie uczyłem się niemieckich wierszy patriotycznych i piosenek, a raz w tygodniu mama zabierała mnie na zakupy do Arys. Chodziliśmy do sklepu, który był wcześniej własnością Cohenów, a teraz znalazł się w rękach prawdziwych aryjczyków. Pamiętam ten wielki, wypisany czarnymi literami szyld: *Niemieckie towary dla Niemców. Kupuj u swoich.* Oczywiście zdarzały się momenty, kiedy nie wiedziałem do końca, kim jestem, i pytałem mamę, czyli Elfriede Kossakowski, czy mnie kocha albo czy jest moją prawdziwą mamą. Szybko uciniała takie dyskusje i tuliła mnie w swoich potężnych ramionach. Była tęgą kobietą, która jednak załatwiała wszystkie prace domowe i rolnicze z niezwykłą lekkością. Wojna nas nie dotyczyła. Pracowaliśmy na roli, a rytm naszego życia był wyznaczany poprzez pory roku. Latem lubiłem pomagać mamie zbierać maliny i jagody w pobliskich lasach.

Piekła wspaniałe placki drożdżowe, których zapach do dziś mnie prześladowuje. Zawsze kiedy jem takie ciasto, myślę o obu moich matkach; o Sarze Cohen, która uratowała mi życie, oddając mnie obcej kobiecie, i o Elfriede Kossakowski, która zastąpiła utracone dziecko mną i tym samym ocaliła mnie od niechybnej śmierci. Miałem czternaście lat, kiedy chcieli zabrać mnie na front. Moi bracia od dawna już walczyli w miejscach, których nazw nie potrafiliśmy wymówić. Żaden z moich braci nie wrócił z frontu wschodniego i nie było od nich wieści od wielu miesięcy. Moja jedyna siostra zmarła przy porodzie trzeciego dziecka na zakażenie krwi. Także niemowlę nie przeżyło, bo miało problemy z samodzielnym oddychaniem. Pochowaliśmy ich we wspólnej mogile na naszym ewangelickim cmentarzu. Jej mąż był na froncie, więc dwójka małych dzieci trafiła do nas. Nagle to ja byłem najstarszy i musiałem starać się o rodzinę. Cóż za ironia losu, że z tak wielkiej, czysto aryjskiej rodziny ocalałem tylko ja – Żyd przebrany w niemieckie ubrania, z niemieckim aktem urodzenia i niemiecką matką, która kochała mnie ponad wszystko.

Grobu mojej przybranej siostry już nie ma. Podobnie jak grobu prawdziwego Hansa-Paula Kossakowskiego. Po wojnie, kiedy na te ziemie przybędą osadnicy ze wschodu, cmentarz zostanie doszczętnie splądrowany, przy milczącej zgodzie nowych mieszkańców.

Dziś jest tylko zarośniętym terenem z kilkoma nieczytelnymi nagrobkami, gdzie młodzież zwykła pijać piwo. Żelazne krzyże już dawno sprzedano na złom, gdzie również nikt nie zadawał pytań, skąd pochodzą.

Mój ojciec nie walczył jako żołnierz, ponieważ miał pewną wadę. Urodził się z jedną nogą krótszą i nosił specjalne buty, które jako szewc wykonał sam dla siebie. Zostaliśmy w piątkę, kiedy wkroczyła armia sowiecka, ponieważ ojciec za nic nie chciał opuścić swojego domu i do końca wierzył w ostateczne zwycięstwo III Rzeszy. To, co stało się później, przypominało najgorszy koszmar. Najpierw wyrzucono nas z naszego domu i przydzielono jeden maluteńki pokój w dawnym budynku administracji w Johannisburgu. Mogliśmy zabrać tylko tyle, ile dało się unieść, ponieważ zarekwirovano także naszego konia i wóz. Stłoczeni wraz z innymi niemieckimi rodzinami, cierpieliśmy głód, chłód i szykany Rosjan i Polaków, którzy coraz liczniej przybywali na te tereny. Na nasze szczęście mieliśmy ciotkę w Berlinie i na tej podstawie pozwolono nam w miarę szybko opuścić byłe Prusy Wschodnie, teraz nazywane Mazurami, i Johannisburg, nazwany teraz Piszem.

Byliśmy zaskoczeni, jak wielkie zniszczenia odniosły Niemcy. Żyliśmy w naszym zaścianku, pracowaliśmy na roli, słuchaliśmy zawsze dobrych wieści z frontu i dopiero w ostatniej minucie wojny spadł na nas ogrom kłamstw, jakimi nas karmiono.

Mimo trudności zaaklimatyzowaliśmy się w nowej rzeczywistości. Pochowałem wraz z ojcem i siostrzeńcami matkę. Wiele lat później zmarł mój ojciec, nazista aż do śmierci, przekonany o słuszności swoich poglądów. Ale od kiedy ja poznałem prawdę o sobie, nie potrafiłem już słuchać tego, co Gottfried Kossakowski opowiadał o czasach przed wojną i o samej wojnie. Nie mogłem już dłużej akceptować jego historii o wielkich Niemczech i przedwojennym plebiscycie, w którym nikt nie miał się wypowiedzieć po stronie Polski. W pewnym momencie miałem nawet poczucie winy, że przeżyłem, podczas gdy moja rodzina została zagazowana w Auschwitz-Birkenau, jak się później dowiedziałem. Moja żydowska matka szła naga na śmierć, a ja żyłem z moją niemiecką matką i zajadałem się jej słodkimi plackami drożdżowymi. Być może nigdy sobie tego nie wybaczę, choć nie miałem wpływu na koleje mojego życia. Po śmierci Elfriede traktowałem przybranego ojca chłodno i starałem się za dużo z nim nie rozmawiać, aby nie wykrzyknąć mu w twarz, że skoro tak bardzo nienawidzi Żydów i Polaków, to powinien również wyprzeć się mnie.

Ale nie potrafiłem i pozwoliłem mu odejść w przekonaniu, że jestem jedynym jego potomkiem, który przeżył II wojnę światową. Jego niemieckim synkiem Hansem-Paulem.

Czasem kiedy siedzę sam w moim małym mieszkaniu i przeglądam stare zdjęcia w bladym świetle lampy, płaczę. Bo zostały mi tylko dzieci i wnuki, którzy odwiedzają mnie nad wyraz rzadko. Dalej mieszkam w Budziszynie, mieście, do którego polskie powojenne władze tymczasowe pozwoliły nam w końcu wyjechać jesienią 1946 r. Tutaj pochowałem najpierw matkę, a potem ojca. Tutaj znalazłem żonę i wychowałem dwójkę dzieci i pewnie w tej ziemi spoczne i ja. Moja historia pozostanie nieopowiedziana. Powierzam ją tym kilku kartkom papieru, które dołączam do mojego testamentu. Mam nadzieję, że moje dzieci i wnuki wybaczą mi, że nie potrafiłem opowiedzieć jej osobiście...

Stowarzyszenie „NIGDY WIĘCEJ”

PO Box 6, 03-700 Warszawa 4
redakcja@nigdywiecej.org

facebook.com/Respect.Diversity
twitter.com/StowNIGDYWIECEJ